Rok 1935. 24 lutego. Nr. 9.

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
POD REDAKCJĄ ELI OLESKIEJ.

PUNKTUALNIE...

— Wstawaj, Stefek, bo spóźnisz się do szkoły — woła mama, krzątając się po pokoju, aby na czas przygotować wszystko do śniadania.

Ale Stefek, który wczoraj musiał uczyć się do późnej godziny, gdyż przedtem marnował czas nad dłubaniem jakiejś zabawki, teraz ani rusz nie może zdobyć się na pożegnanie z poduszką. Wreszcie bluzgnięcie zimną wodą przez starszego brata, który oddawna już był gotowy ze wszystkiem, wyrwało go nareszcie z ostatniej drzemki. Zanim się zebrał, umył, zmówił pacierz, zjadł śniadanie, pozbierał wszystko potrzebne do szkoły, wskazówka na zegarze doszła do 10 minut przed ósmą.

— Ach, jeszcze tyle czasu — rzucił z progu do przynaglającej go matki.

Ledwie pani Brzezińska zamknęła drzwi za synem i wróciła do przerwanego porządkowania w mieszkaniu, rozległo się gwałtowne, niecierpliwe stukanie. Domyśliła się jego przyczyny: wracał Stefek.

— Zapomniałem, że dziś rysunki i nie wziąłem bloku...

— Widzisz więc, że wcale nie tak wiele zostało czasu do rozpoczęcia nauki.

— Jeszcze zdążę, alboż to tak daleko do szkoły — zapewniał matkę, zbiegając ze stukiem po schodach.

Gdy się znalazł pod drzwiami klasy, usłyszał właśnie swoje nazwisko czytane przez nauczyciela w dzienniku.

— Nieobecny — huknęła gromada kolegów.

Stefek z hałasem pchnął drzwi przed sobą.

— Jestem, proszę pana profesora, jestem.

— Stale się spaźniasz i będziesz to musiał mieć zaznaczone w świadectwie — odparł nauczyciel spokojnie. — Jużem ci tyle razy powtarzał, że obowiązkiem ucznia jest stawić się w szkole punktualnie.

Stefek ze strapioną miną usiadł w ławce. Po skończonych lekcjach nauczyciel powiedział chłopcom, iż nazajutrz idą na wycieczkę geograficzną i należy zebrać się o kwadrans wcześniej, aby jeszcze na parę minut przed ósmą można wyruszyć w drogę. Wielka zapanowała uciecha między uczniakami. Tak miło jest przecież w świeży, słoneczny ranek pójść gdzieś dalej poza deptane codziennie ulice miasta.

Na godzinę wcześniej niż zwykle, wyskoczył już Stefek z łóżka, aby tylko znaleść się na oznaczoną porę w szkole. Matka pośpieszyła też ze śniadaniem i wszystko było gotowe, jak należy. Rzuciwszy wzrokiem na zegar, przekonał sie Stefek, że ma jeszcze kwadrans czasu. Porwał więc książkę, którą powinien był przed tygodniem oddać do bibljoteki, i podparłszy się łokciami, zagłębił w czytaniu. Strasznie zajmujący właśnie zaczął się opis, kiedy to bohater powieści walczy między wewnętrznem poczuciem obowiązku a pokusą, która go zzewnątrz napastuje, starając się ów obowiązek poniżyć. Aż wypieków na twarzy dostał Stefek z wielkiego przejęcia.

Wtem jakby grom spadł z jasnego nieba: zegar wydzwonił powoli godzinę ósmą. Jednocześnie wbiegła z kuchni matka do pokoju:

— Stefęk, ty jeszcze tu! przecież...

Ale Stefka już w pokoju nie było. Wypadł jak z procy, pogonił do szkoły, jednym tchem wbiegł na schody i wpadłszy do klasy — zastał ją pustą... Pełen rozpaczy, zaczął szukać tercjana, aby się dowiedzieć, dokąd, w którą stronę chłopcy odeszli. Tercjan jednak, wzruszywszy ramionami, odrzekł:

— Trzeba było zjawić się punktualnie na oznaczoną godzinę, byłby uczeń wiedział, dokąd wszyscy pójdą...

Długo stał Stefan ze łzami w oczach przed gmachem szkolnym, zapatrzony w ulicę, a w uszach mu ciągle brzęczało jedyne słowo: punktualnie... punktualnie... *O.*

GROZA I POTĘGA LAWINY.

I.

Prawie codziennie przynoszą gazety wiadomości o śmiertelnych wypadkach w górach polskich i obcych z powodu zasypania przez lawinę. Warto zatem bliżej zapoznać się z temi groźnemi zjawiskami, które co roku pod koniec zimy i z wiosną, zabierają tyle ofiar ludzkich.

W wysokich górach, jak wiadomo, śniegi i lody nie tają tak szybko, jak się to dzieje na nizinach. W niektórych okolicach szczyty górskie najwyższe zostają nawet i przez cały rok pokryte lodem, w głębokich zaś przepaściach, między skałami, gdzie nigdy dotrzeć nie może słońce, leżą wieczyście zwały śnieżne, dając początek licznym strumykom.

A przecież wiosna, ta potężna budzicielka życia po długim śnie zimowym, nawet i tym strasznym śniegom i lodom daje odczuć swoją władzę i moc. Już pod koniec zimy, pod promieniami wiosennego słońca, lody zaczynają pękać i choćby częściowo rozmarzać, śniegi topnieją. I właśnie teraz nadchodzi czas dla lawin, których tworzenie się niekiedy przeciąga się aż do lata.

Olbrzymie zwały śnieżne, jakie nagromadziła długa zima górska, pod wpływem cieplejszych wiatrów, deszczów i słońca zaczynają puszczać, tajać. Woda, jaka się z nich tworzy, podmywa spód — i wystarczy wtedy najmniejsze drgnięcie, jeden podmuch wichru, aby to całe śnieżne pole, zalegające zbocze góry, zaczęło się zsuwać w dół. Staczając się, jedne warstwy porywają za sobą drugie, dalsze, zbijają się w potworne zwały, porywają z sobą glebę urodzajną, żwir, kamienie, głazy i spadają w doliny.

Nic zatem dziwnego, że wszelka żywa istota, którą zagarnie z sobą taka lawina, znajduje pod nią śmierć, jeżeli w czas nie nadejdzie ratunek. Zagrzebani w śnieżnym grobie, słyszą doskonale każde słowo ludzi poszukujących, sami jednak, mimo wszelkich wysiłków, nie mogą dać się im słyszeć — i ostatecznie giną z uduszenia.

Śnieg przez takie lawiny utworzony, staje się zbity i twardy niby cement. Pewien góral, którego lawina porwała, lecz na szczęście nie zadusiła, nie mógł wydobyć z pod niej swego płaszcza, do połowy jakby wrośniętego w śnieg. Przechowują się też doskonale w takim śniegu wszelkie martwe zwłoki, i zdarzyło się raz, że w stopniałej lawinie znaleziono po dwu latach kozicę z małemi, których mięso okazało się niezepsute.

Na stokach zwróconych ku wschodowi odrywają się w Alpach lawiny zazwyczaj około godziny 10-ej rano; na stokach południowych między 12 a 2-gą; na zachodnich między 3 a 6-tą, zaś na północnych stokach dopiero późnym wieczorem.

Miljony jajek najrozmaitszych owadów, poczwarek, a także i nasion roślinnych, które osadziły się w lecie na miejscach, kędy potem przeszła lawina, niespodziewanie znajdują się w dolinach i tam zaczynają się rozwijać. Nieraz jednak czekać na to muszą nasionka bardzo długo, gdyż śnieżne zwały, grubości niekiedy kilku metrów, topią się bardzo zwolna, co często trwa aż do lipca.

Zdarza się, że te twarde, a niesłychanie ciężkie zwały śnieżne powstrzymują nawet bieg potoków; tworzy się wtedy jeziorko, które kiedyś, gdy wody dostatecznie śnieg rozmiękczą, zalewa nagle dolinę. Bywa też, zwłaszcza po stronach cienistych, że taka masa śnieżna przepuści wodę potoku popod siebie, a sama utworzy górą most stwardniały, po którym przez cały rok można przechodzić bezpiecznie. *E.*

Zajmująca historja wydry.

(Ciąg dalszy)

Wtem ujrzała przed sobą jakiegoś olbrzyma, z potworną, jakby u krokodyla paszczą, który wyszczerzywszy na nią białe, ostre zęby, zdawał się pytać:

— Co tu robisz, jakiem prawem śmiałaś tu wejść, ty marne, nieznane mi stworzenie? Kto ci pozwolił wdzierać się w obszar myśliwski, który do mnie tylko od tylu lat należy? — i w tejże chwili kłapnął groźnie potężną paszczą.

Zdjęta śmiertelną trwogą, ustąpiła pośpiesznie z drogi staremu szczupakowi i drżąca na całem ciele, opuściła straszną krainę podwodną. Po kilku sprawnych, chyżych poruszeniach znalazła się wkrótce na bezpiecznem wybrzeżu.

Aby przyjść nieco do siebie po przeżytym codopiero strachu, położyła się pod krzakiem, na którym właśnie śpiewał sobie wesoło kos. Gdy mu opowiedziała o swojem przejściu, poradził jej kos napół drwiąco, żeby już odtąd karmiła się samemi żabami. Młoda wydra poszła za radą ptaka i zjadła kilka małych żabek, których poddostatkiem było dokoła. Bardzo to jednak mizerne okazało się dla niej pożywienie. Na szczęście znalazła się w pobliżu przypadkiem matka, wyprowadziła więc nie nasyconą zbytnio żabiem mięsem córkę z ukrycia, chcąc ją poprowadzić do rzeki daleko, aż do szumiącej wody przy tamie, o czem tak często marzyła ona w swych snach.

Zaledwie zaróżowiło się niebo na wschodzie, wśród jasnych obłoków nadchodzącego słońca, ruszyły obie wydry wężowemi ruchami, przez sperloną rosą trawę, wzdłuż niskich krzewów nad brzegiem stawu; matka raz jeszcze podniosła głowę, jak łasica, śledząc i nadsłuchując, poczem obie weszły na wielką łąkę.

Wyraźnie słychać było szum wody u tamy. Znalazły się w rzece. Na przeciwnym brzegu stał człowiek i łowił ryby. Matka zauważyła go zaraz, gdy z jego warg wymknął się przyciszony gwizd, prawdopodobnie z gniewu, że mu się nie szczęściło z połowem. Zresztą człowiek ten nie był niebezpieczny i sam nawet nie miał pojęcia o bliskości takiego współzawodnika w wodnem państwie stawu. *(C. d. n.)*

Tajemnica wyspy kauczukowej.

Opowiedział MARJAN WARTA.

(Ciąg dalszy).

— Oho — odezwał się, pan Willington — pewnie masz ochotę zwerbować mnie do swego kauczuku!

— A jakże. Posłuchaj mojej rady, porzuć Jawę i nie zaczynaj tu nowych interesów, bo nie potrzebuję ci mówić, że chyba dość ludzi wyzyskuje już bogactwa tej wyspy. Przecież tu doprawdy człowiek człowiekowi siedzi na karku. Wprost trudno o wyspę gęściej zaludnioną. Powtarzam ci, porzuć Jawę i jedź ze mną na drugą stronę morza.

— Czy naprawdę radzisz mi, Janie, przenieść się na Borneo — zapytał poważnie pan Willington, spojrzawszy przytem na twarz synka, w którego oczach zauważył błysk radości.

— Ależ naturalnie. Borneo to wyspa przyszłości, pełna jeszcze tajemnic dla Europejczyka. W jej wnętrzu znajdą się jeszcze obszary nietylko wcale nie wyzyskane po dziś dzień, ale nawet dotychczas nieznane. Czyż mogłoby ci się nie uśmiechać odkrywanie tych tajemnic?

— Wiesz, co ci na to powiem — odparł po namyśle gospodarz. — Jeżeli co miałoby mnie skłonić do pójścia za twą przyjacielską radą, to chyba jedna okoliczność, mianowicie wzgląd na mego jedynaka. Oto Wil nie ma tu spokoju na Jawie, bo go wiecznie nęka myśl o tych kilkudziesięciu wulkanach, które są nieustanną groźbą tej wyspy. Może tu nawet klimat zdrowszy, a na Borneo, które ty mi tak zachwalasz, będzie niebezpieczniejszy. Ale dlatego samego, że na tamtej wyspie niema wulkanów, gotów jestem przenieść się na drugą stronę morza, by w tamtejszych puszczach spróbować szczęścia.

— Znajdziesz je napewno, mój przyjacielu, skoro mi tylko zaufasz.

Gość zwrócił się w tej chwili do wpatrzonego w jego twarz garbuska i zapytał z uśmiechem:

— Więc ty, Wilu, miałbyś ochotę, przenieść się na Borneo? Słyszałeś cokolwiek o tamtych okolicach?

— Znam je, proszę pana, tak dobrze — odparł chłopiec — jakbym sam w nich mieszkał.

W tej chwili weszła do pokoju Banka, niosąc Wilowi do zażycia jakieś lekarstwo, przepisane mu przez doktora. Mały kaleka podniósł rękę w stronę wchodzącej Malajki, poczem zwracając się do gościa, zawołał: *(C. d. n.)*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

FIGIELKI

I.

Gdy o we mnie zechcesz wstawić, ułan mnie użyje.
Ale kiedy y tam włożysz, kto chce mnie spożyje.

II.

Jeśli r jest na początku, biegnie poprzez łąki.
Kiedy jednak w zaczyna, będzie dużo mąki.

III.

Kiedy l stanie na przedzie, smaczne będzie danie.
Ale kiedy n na froncie, znaj Egipt, mospanie.

Rozwiązanie szarady z nru 8-go: War. Sza. Wasza. Warszawa.